Lwów, 17. Lutego. Nr 21. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartał. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Rycimy mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść społeczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

XIX.

— Pomimo to jednak, — mówił ksiądz dalej z równą zawsze powagą, — nie dzielę twojego zdania o rościągłości tego wielkiego zawodu, któregoście doświadczyli w tej sprawie. Zawód jest główny, jest prawie zupełny, ale przecie nie tak zupełny, jak ty go pojmujesz. Zasiewy wasze urodziły chwast podły, boście chwast siali, ale jeżeli pomiędzy tym chwastem było gdzie jakie zdrowe ziarenko, to ziarenko to się przyjęło i zejdzie o swoim czasie. Bo społeczeństwo ludzkie, to gleba najżyzniejsza ze wszystkich a słońce duchowe, które machinę świata utrzymuje przy życiu, ma najgorętsze promienie. Że ty tych ziarnek drobnych, które się poprzyjmowały, nie widzisz, rzecz wcale nie dziwna, bo trudnoż ma dojrzeć trawkę drobniutką ten, który oko swoje wytęża na całe łany i stepy. A że z tych ziarnek plon będzie dopiero kiedyś, za życia wnuków naszych, lub później, także się nie ma czemu dziwować, bo jak w naturze tak i w życiu społeczeństw nie masz gwałtownych przeskoków, na radykalne zmiany potrzeba wieków a z pnia kilko-wiekowego, chociaż dawno już spruchniałego dębu, jeszcze daleko silniejsza wyrośnie gałązka, niż z kilkuletniego, chociaż całkiem zdrowego krzewu. Takie pnie niszczyć, nie dobrze-to obliczona i bardzo niewdzięczna sprawa, ale je nowem życiem zażywiać, ze zgnilizny oczyszczać, latorośle szczepić i pielęgnować, owóż zajęcie godne dobrego i rozsądnego gospodarza. Ale wyście tego nie zrozumieli i dla tego wielką szkodę uczyniliście na polu, żadnej nie zdobyliście sobie zasługi a śród gwałtownej i nagłej pracy nareszcie poupadaliście sami.... A teraz pomówmy o waszym własnym a raczej o twoim osobistym upadku. Owóż tedy, żeś ty dzisiaj, po zakończeniu twojego zamierzonego zawodu, uczuł się nagle jak gdyby z nóg ścięty, ja się temu nie dziwię. Straciłeś wiarę twoją, albo to, co sam sobie wybrałeś za wiarę, co zresztą na jedno wychodzi... zdradziła ciebie kochanka... zachmurzył się nagle horyzont nad tobą... zaciemniły się drogi... nie możesz dojrzeć żadnego przed sobą widoku.... upadłeś! Nie dziwię się temu. Cios to głęboki, wielostronny i silny.... Tyś człowiek, masz serce, masz czucie, masz wyższą oświatę, masz ambicyą, nie pojmujesz podróży bez celu, istnienia bez pewnego zajęcia..: upadłeś na chwilę! Ale że ty człowiek młody, pełen sił, zdrowia i czucia, straciwszy jedną i przekonawszy się, że była fałszywą, nie szukasz wiary innej, prawdziwszej, — że ty człowiek rozumny i doświadczony, masz to wyobrażenie, że oprócz tej jednej, za czasów młokosowstwa wybranej, żadna inna cię nie może uszczęśliwić kobieta, — że ty, człowiek mający tak bogate moralne i materialne środki pod ręką, nie możesz dojrzeć przed sobą żadnej drogi i żadnego zajęcia, — temu przyznam ci się, dziwię się bardzo i niemogę się dosyć nadziwić.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Kamil z ironią i zerwał się z miejsca, — cóż chcesz ażebym robił? Budując przez całe życie dom wielki, olbrzymi, będęż teraz budki z kart stawiał, kołki ciosał, cegły nosił, wapno rozrabiał?... ciekawy jestem, który to potrafi?...

— Dziwną to zaiste jest rzeczą, — mówił dalej ze zwykłym sobie spokojem ks. Augustyn, — że ludzie, pełni częstokroć nauki z książek i nauki z życia, uwierzywszy w tysiąc prawd różnych, w tę jedną nie umieją uwierzyć, że krom objawionych i że tak powiem, stworzonych przez Boga, żadnych innych prawd bezwzględnych nie masz na tym świecie. Wszystko co ludzkie, już dla tego samego, że ludzkie, musi być względne i zawarowane tysiącem warunków. Tak też się ma i z owemi zawodami czyli zakresami ludzkiego życia, o których mowa.

„Ty niemożesz dzisiaj żyć w mniejszym zakresie, dla tego że żyłeś już w większym!“.... Aniś pomyślał o tem, jaka w tem powiedzeniu jest niedorzeczność. Bo przedewszystkiem wielkość tego twojego zawodu czy zakresu życia, w którym żyłeś dotychczas, jest dla mnie bardzo problematyczną. Wielkość ta bowiem, o ile mnie się zdaje, była tylko w twej głowie, ale nigdzie w rzeczywistości: zawsze tylko chciałeś, ale właściwie nic nie robiłeś. Zawód życia określają zwykle czyny: ja znam twoje marzenia, twe myśli, twe plany, twe chęci, ale gdzież są twoje czyny?

— Ah!.... krzyknął Kamil z niecierpliwością, — bo pola do nich nie było. Ale daj mi pole a będą czyny.

— Nie prawda, — rzekł na to kapłan stanowczo,— sto pól ci podam, a jeszcze żadnego czynu nie zdziałasz. Znam ja was dobrze, mój bracie!... Więc gdzież ta wielkość zawodu życia?... Powiedz tedy raczej, że chybiłeś wielkiego zawodu, że go miałeś przed sobą, ale nie że w nim już żyłeś i działałeś na jakieś bardzo wielkie rozmiary.

— To dobrze, ale zawsze mi przyznasz, że czym działał czy usiłowałem dopiero działać, zawszem się do tych rozmiarów już przyzwyczaił. A powiedz mi też, czy ktoś, który n. p. rządził całą prowincyą, mógł się potem przekonać rządzić lichem miasteczkiem lub wioską?

— Ja sądzę, że mógł zawsze, jeżeli tylko chciał. Znam królów, którzy przez długi czas byli profesorami, znam wielkich hetmanów rzymskich, którzy po skończonym swoim wielkim zawodzie, powracali do pługa.

— Ale to byli ci, którzy spełnili to, co przedsięwzięli.

— Tem tylko prędzej powinni do mniejszego zawodu powracać ci, którzy się przekonali, że niepotrafią nic zrobić w wielkim.

Gorzko się na to uśmiechnął Kamil i usiadłszy na powrót na swojem miejscu, słuchał dalej z uwagą, co mówił jego przyjaciel:

— Owoż tedy tak sądzę, — były słowa jego dalszej perory, — że teraz najpierwej należało-by ci obrać sobie jakieś stałe zajęcie. Wybór ten niepowinien-by być zbyt trudnym. W kraju głównie rolniczym, najpospolitszym, najłatwiejszym a przytem i najpiękniejszym jest zawód rolnika. O gospodarstwo także będzie ci nie trudno. Jeżeli tego zechcesz, ojciec twój pewnie ci wioski swojej odstąpi a jeżeli ci się ta nie podoba, masz pieniądze, możesz sobie zakupić inną. A gospodarstwo na wiosce porządnej, wierz mi mój bracie, jest to rzecz nie tak mała i nie tak bardzo pozioma, jak ci się może wydaje na oko. Kilkaset morgów tej pięknej i wdzięcznej ziemi, która ostatnie krople swych soków żywotnych wyciska, aby dziatki swoje nakarmić, kilkadziesiąt pobożnych, pracowitych a zawsze jeszcze i pod każdym względem tak bardzo ubogich familij, kilkanaście sług różnych, kilkanaście sąsiedztw zacnych, poczciwych a potrzebujących zawsze światłej rady, nauki, pomocy, wierz mi mój bracie, obszerne to pole do pracy i zawód to nader wyniosły i szczytny, jeżeli tylko ktoś będzie w stanie pojąć wszystkie jego obowiązki i do spełnienia ich rzucić się z prawdziwą miłością i powołaniem. Zawód to wielki a jeszcze większy dla tego, iż daje nieograniczone pole do doświadczenia sił wszystkich, jakie najjenialniejszy posiada człowiek, i niepożerając sobą wszystkiego czasu, nie staje na przeszkodzie jeszcze i różnym innym, jakie się komu podobają, zawodom. Przy takiem rolnictwie, jakie jest u nas po dziś dzień, i na tem stanowisku, jakie w społeczeństwie naszem przeznaczone jest dla gospodarza na własnej swej wiosce, można jeszcze bardzo wiele przyjąć na siebie obowiąsków, a jako dawniej w Polsce obowiązki pierwszych krajowych urzędów, pierwszych stopni wojskowych, obowiązki posłów na sejmy i do zagranicznych dworów, obowiązki kapłanów, uczonych, sędziów, nie zawadzały nic wcale obowiązkom rolnika, tak i dziś jeszcze wiele innych zawodów z tym jednym się łączy. A jak-że to miłe, przyjemne, wesołe może być życie takie na swojej własnej roli, na której wszystko, co oczy widzą, owocem jest naszej własnej pracy, dbałości, opieki; w własnym swym domku spokojnym, cichym, dalekim od wszelkich burz, gwarów i kłótni światowych; pomiędzy swą własną czeladką, którą się poprawiło z wielu błędów i przywar, przyzwyczaiło do pobożności, poczciwości i pracy, i przywiązało całem sercem do siebie; pomiędzy swą własną gomadką, którą się oduczyło pijaństwa i lenistwa, oswobodziło z wiekuistego ubóstwa i nędzy, której się własnym kosztem pobudowało chatki, pozaszczepiało sady, założyło szkółkę, wymurowało piękny, czyściutki kościołek; pomiędzy tem sąsiedztwem nakoniec, które z naszej biblioteczki zasila się nauką, z naszej głowy dobrą radą, z naszego serca pociechą w smutkach, z naszych zasobów pomocą i za to otacza nas miłością i poważaniem, stawia za wzór dalszym okolicznym mieszkańcom, nasze zamiary i usiłowania wspomaga wszędzie i zawsze, i z czasem wynosi na godność ojca i patryarchy kilkunasto tysięcznej ludności!... Toż-to mały jest zawód? toż ciasne to pole działania dla tego, który-by miał zdrowy rozsądek, poczciwość serca, spokojność duszy i wytrwałość w swych przedsięwzięciach?...

— Prawda, prawda! — mówił Kamil na to, wzdychając z głębi piersi, — nie przeczę temu..... może-bym umiał takiemu zawodowi podołać! Ale zawsze jeszcze pytam, co pocznę z sobą? co pocznę z tym ogniem, który pali moją duszę zbolałą, co z tą goryczą, która się rozlała po wszystkiej krwi mojej, co z temi czarnemi myślami, które jak gniazdo upiorów usiadły w mojej głowie i zaciemniają przedemną świat cały i były-by w stanie nawet słońce zaciemnić, gdyby jeszcze jakie wzejszło na mojem niebie?... Z ludźmi sobie dam radę, ale co pocznę ze sobą?....

— Módl się! — rzekł kapłan na to, składając ręce jakby do modlitwy. — módl się! a jeżeli modlitwa wyjdzie czysta z twojego serca, pewnym być możesz miłosierdzia Bożego.

— Módl się! cha, cha, cha! — krzyknał Kamil z śmiechem prawie piekielnym, — ja mam się modlić?... i jakież-to mi, mój kochany proboszczu przepisujesz modlitwy?

Na-to ksiądz powstał ze swego miejsca i wpatrzywszy się surowo w rozpłomienioną twarz szaleńca, zapytał sucho:

— Czy nie umiesz Ojcze nasz?

— Cha cha cha! wyborny jesteś mój Augustynie! — zawołał na to Kamil i prędkim krokiem zaczął chodzić po izbie, mając twarz coraz czerwieńszą, oczy coraz płomie-

nistsze i drząc cały nerwowo, jak trup dotknięty drutem galwanicznym.

— Ja mam się modlić! — powtarzał on, przystępując z obydwiema podniesionemi rękami ku księdzu, — ja, który przez lat tyle modliłem się Jemu najsroższem jakie być może męczeństwem, który się modliłem głodem, tułactwem i nędzą, który się modliłem krwawym trudem mojego ciała, piekielną pracą głowy, krwią zapiekłą przy sercu! ja mam dziś z wami odmawiać godzinki, klepać pod kościołami pacierze, jutrznią spiewać z dziadami? cha cha cha! wyborny jesteś mój Augustynie!

— Więc chyba w Boga nie wierzysz! jeżeli tak, to *Amen!* bądź zdrów i szukaj sobie gdzie chcesz pociechy i rady! — rzekł na to goręcej trochę ks. Augustyn i wziąwszy w rękę kapelusz, miał się już ku wyjściu. Ale w tem Kamil przyskoczył do niego, porwał za rękę i zawołał:

— Poczekaj! *Amen* mówisz? poczem milczał z osłupiałemi oczyma przez chwilkę a nakoniec zaczął w głos słowami poety:

—*Amen*?... To *Amen* krztusi mnie i dławi
Jak Makbetowe *Amen*.... A więc wierzę....
Że ludy płyną jak łańcuch żórawi
W postęp.... że z kości rodzą się rycerze...
Że nie spi tyran, gdy łoże okrwawi
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze;
Że ogień z nim spi i węże i trwoga...
Wierzę w to wszystko — ha! — a jeszcze w Boga!

Ale widzę: że nie jest On robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni on nie kiełza...
On, piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
Wielki czyn tylko go ubłaga, nie łza
Stracona próżno przed kościoła progiem:
Przed nim upadam na twarz, On jest Bogiem!

— Ty bluźnisz, kochany Kamilu, rzekł na to ksiądz głosem uspokojonym cokolwiek, — tyś przesiąkł na wskróś cywilizacyą zachodnią, tyś się zaraził ową szaloną poezyą, która strawiwszy młodość na lamparteryi duchowej, w wieku męskim umarła na suchoty duchowe. Tyś przejął wszystkie jej najszaleńsze pojęcia i one właśnie są twoją główną chorobą. Nie to, że krwawa klęska kraj nawidziła, nie to, że jakaś tam wasza idea okazała się fałszem w zastosowaniu, nie to, że cię kochanka zdradziła, wyrzuciło ciebie z kolei życia, odtrąciło od świata i napełniło rozpaczą: ale to, że twoje własne marzenia nie stały się prawdą, że twoja własna duma została upokorzoną, że pycha twoja złamaną, żeś się przekonał dowodnie, iżeś jest nędznym prochem, robakiem, niczem w obliczu Boga i człowieczeństwa!... To są owe strumienie, któremi gorycz, żółć, rozpacz wpłynęły w tętna twojej nędznej lepianki, a wszystkich ich razem źródło w tem, iżeście podług swych własnych wymysłów pojęli istotę Boga, iżeście prawdy objawiane z pogardą odrzucili od siebie, iżeście się stali bałwochwalcami swego własnego rozumu a krótko mówiąc, iżeście się stali poganami dziewietnastego wieku!

Podczas ostatnich ustępów tej szczególniejszej rozmowy obadwaj starzy stali w głębi przyległego pokoju i podsłuchiwali się z uwagą mówiącym, a zatrwożywszy się ostatniemi słowami księdza, weszli obadwa do pierwszej izby. Pan Bonawentura, obaczywszy syna zbliska, że twarz jego była prawie karmazynowa, usta spieczone i drżące a oczy pełne jakiegoś dzikiego ognia, przestraszył się go na seryo i przystąpiwszy do niego, z troskliwością zapytał:

— Przez Boga Kamilu! co tobie jest? czy broń Boże znów jaki wypadek?

— Cóż-by znów było? — rzekł Kamil na to, usiłujac nadać głosowi swemu wyraz spokoju, — zacietkliśmy się z księdzem proboszczem w dyspucie i pozapalaliśmy się obadwa, a że ja młodszy cokolwiek od niego, więc znać trochę więcej zapału na mnie niż na nim.

I to rzekłszy, wyszedł do izby przyległej a ztamtąd do sieni. Ale to zapewnienie nie uspokoiło jeszcze zatrwożonego ojca, obrócił się więc do księdza i znowu zapytał:

— Jemu się coś stało, nieprawdaż?

— Teraz i tutaj nic mu się nie stało, — odpowiedział proboszcz, — ale tam mu się stało.

— Gdzież; zmiłuj się i co to takiego?

— Tak długie wygnanie, — mówił ksiądz spokojnie, tyle cierpień, żalów, zawodów, sprowadziło mu słabość nerwową, rozdrażnienie mocne i trwałe, które go napawa ustawicznym smutkiem a przy lada sposobności wprawia w gorączkę i sprowadza pewien rodzaj spazmatycznego cierpienia.

— Hm! westchnął na to ze smutkiem ojciec i dodał, ale boś mu Jegomość coś mówił, że o Bogu zapomniał, czy że się spoganił?

— Jest i o to trochę, — odpowiedział ks. Augustyn, zabawiwszy lat dziesięć pomiędzy niedowiarkami, stracił wiarę w siebię, w dobrą przyszłość a tem samem zaraził się trochę herezyą.

— Cóż *quinum* diabłum? — spytał Szłyk z kolei, — do Farmazonów się wpisał, czy na lutra się przechrzcił?

— Stracił wiarę! mój Boże! — westchnął na to, załamując ręce pan Łaski, — cóż to za czasy dzisiaj! co za ludzie! jam lat dziewietnaście, w czasach takich, w których w połowie świata wszelkiej wiary powywracano ołtarze, przeżył w obliczu najszkaradniejszych herezyi: a przecież szkaplerzyk ten święty, któren wisiał na moich piersiach, z każdym dniem tylko coraz większą stawał się dla mnie świętością! I było nas takich naówczas wiele i

wiele tysięcy, i wielu z nich potraciło ręce i nogi, potraciło zdrowie i życie, pozapominało kraju swego, rodziny, języka, ale żaden nie stracił wiary, żaden nie zapomniał o Bogu!...

— Inne to były czasy! inni ludzie! — rzekł ks. Augustyn, — ale i o Kamila nie masz jeszcze co rozpaczać. Na słabość nerwów pomoże mu ruch, świeże górskie powietrze i gospodarskie zajęcie a naprowadzenie go na prawą drogę pojmowania prawd Boskich zrobi się samo powoli. Główna rzecz jest, ażeby się czemś zajął koniecznie, najlepiej zaś, ażeby się zajął gospodarstwem na wsi.

— A więc niech w imię Boskie zaczyna, -- rzekł pan Bonawentura, — ja mu oddam wioskę dziś jeszcze.

I na tem skończyły się pierwsze odwiedziny ks. Augustyna po powrocie Kamila.

Przez kilka dni był Kamil zostawiony sam sobie i troskliwym wypytywaniom ojca i Szłyka o zdrowie i usposobienie, której-to troskliwości dowody im były częstsze i czulsze, tem tylko nieznośniejszemi się stawały dla niego. Przytem wszakże nie musiał on zapomnieć o radach, danych mu przez ks. Augustyna, bo zaraz dnia trzeciego po jego odjeździe prosił ojca, iżby mu pozwolił przejrzeć swoje gospodarskie regestra z kilku lat ostatnich. Szef handlowego bióra w Marsylii nie mógł się najpierwej dosyć nadziwić tej polskiej buchalteryi, która jak została wynalezioną przez panów podstarościch gdzieś jeszcze za czasów Zygmunta Augusta, tak do dziś dnia się nie zmieniła ani na jotę. Miał tedy wielką z ojcem swoim zabawkę, tłumacząc mu, czem to jest dziś buchalterya, jak wyglądają jej księgi, jakie są rodzaje kontroli i t. d. czego wszystkiego pan Bonawantura ani rusz nie mógł zrozumieć. A kiedy Kamil wziął pióro i papier do ręki i pokazał mu to wszystko naocznie i dowiódł liczebnie, to pan Bonawentura ani o włos więcej nie zrozumiał, jak przedtem. Zabawiło to skeptycznego Kamila i mruknął sobie pod nosem: Otóż to są ci wielcy ludzie, których nam każe uwielbiać historya! — Rozmawiając z nim dalej o jego wiosce i jej dotychczasowych intratach, tylko coraz więcej znachodził powodów do potwierdzenia powyższej uwagi: nie trudno mu bowiem było poznać, że gospodarstwo tam stało na stopniu najniższym, że najpospolitszych a już dziś w całej Europie używanych brakowało narzędzi, że nie korzystano z żadnych źródeł przybocznych, żadnych nie przedsiębrano spekulacyj i zgoła o tej niezliczonej ilości wynalazków w agronomii, leśnictwie, przemyśle i t. d. które już w całej zachodniej Europie od dawna znalazły zastósowanie, nie miano nawet ani pojęcia. Zawołany spekulant marsylijski badał wioskę ojcowską poprostu jako kapitał przynoszący swe renty a gospodarstwo w niej uważał li tylko jako finansowy interes, jakoż pod tym poglądem wioska ojcowska nie bardzo go nęciła do siebie, a tem mniej jeszcze dla tego, iż kiedy najwyższy dzisiaj możliwy z niej dochód porównał z wartością pracy swojej, którą-by zajęcie się w niej gospodarstwem pożarło, pokazało mu się, iż jego praca przenosiła wartością trzy razy nagrodę. Wszakże wziąwszy wzgląd słuszny na to, iż jego praca nie jest warta tyle w Galicyi ile we Francyi, i znowu wzgląd na to, że w tej wiosce da się inne zaprowadzić gospodarstwo, że do niej można będzie jeszcze drugą i trzecią wioskę zakupić, że te wioski mają drzewo, kamień, żelazo a oprócz tego któż wie, co jeszcze więcej? — zaczął sobie różne plany układać i myśleć nad tem na serio. (D. c. n.)

Do przyjaciela gdy mu matka umarła.

Pójdziesz do ludzi, co cię dzieckiem znali.
Powiesz im straszne twych losów wypadki,
Oni cię będą z uwagą słuchali,
I płakać będą nad śmiercią twej matki;
Lecz gdy się u drzwi nowi goście zgłoszą
Oni powstaną i ciebie przeproszą!....

Pójdziesz do ludzi, co krwią tobie bratni
Spytają z pańska o twojo dostatki,
A gdy im wskażesz twój pieniądz ostatni,
I złoty pierścień, pamiątkę twej matki,
Wtedy z litością przy tobie usiędą,
I o swej biedzie rozprawiać ci będą!...

Odejdziesz, zgasną nadziei kobierce,
Świat się dla ciebie okryje żałobą —
A jeźli wtedy znajdziesz jedno serce,
Co cię rozumie, zapłacze nad tobą....
Gdy łzę tę schowasz w tej duszy ukryciu,
Szczęśliwym będziesz w nieszczęśliwem życiu.

I myśl swobodna, jak złocista tkanka,
Przebiegnie gęsto twoich marzeń źródło!
A wtedy pomnij, by serce kochanka,
Dla przyjaciela i świata nieschłódło!
Pomnij, że szczęście to wypadek rzadki,
A tysiąc woła: bez matki! bez matki!

J. Z.

Ustęp z Pamiętników Ułana.

Z części drugiej.

Jakoś na drugi dzień po tem połączeniu się powstańców litewskich z nami, doszła nas wiadomość że Jenerał Giełgud z 18. tysięcznym blisko korpusem, i dwudziestoma działami, odcięty w Augustowskiem od głównej armii, przerznął się także na Litwę i ku Wilnu pospiesznemi marszami zdążał. Wieść ta tem mocniej podniosła ducha tak w naszym starym żołnierzu, jako też i w konfederowanej

Litwie całej, tem więcej gdy po obliczeniu sił obecnie na Litwie i Żmudzi rozrzuconych, pod wodzą Jenerała Chłapowskiego, Szymanowskiego, Rolanda, Dembińskiego i Giełguda, oraz podpułkownika Matuszewicza, wypadek okazał dość już poważną liczbę, bo dochodzącą do 30 kilku przeszło tysięcy, a mimo to że połowa może tego składała się z żołnierza młodego, niedoświadczonego i nie najlepiej uzbrojonego, wszelako co im nie dostarczało z tej strony, to na zapał, poświęcenie i przykład starego wojska, zresztą i na patriotyzm mieszkańców licząc, byliśmy aż nadto pewni, że z podobnemi siłami śmiało już spotykać się będziem mogli z nieprzyjacielem chociażby co do liczby i o wiele od nas przeważniejszym. Nietracąc zatem czasu zwinęliśmy obóz i pociągnęli ku Wilnu. Po kilku dniach marszu, podsunęliśmy się bez przeszkody na odległość $1\frac{1}{2}$ tylko mili od Wilna, ale z przerażeniem i smutkiem nie małym nie tylko nigdzie korpusu jenerała Giełguda niespotkaliśmy, lecz nadto po stratowanych zbożach do koła i poniszczonej okolicy domyśliliśmy się z łatwością że tędy swieżo Rossyanie przeszli. I w samej rzeczy Sakin z kilkanastotysięcznym korpusem, korzystając z czasu który jenerał Giełgud na wyprawieniu swych imienin w rodzinnem swym gnieździe Giełgudyszkach dla próżnej chełpliwości trwonił marnie, ubiegł tym czasem Wilno, dotąd szczupły tylko garnizon mające, a którego mieszkańcy z utęsknieniem wyglądali ukazania się tylko jakiego bądź oddziału regularnego polskiego żołnierza, aby mu bramy miasta otworzyć.

Stanęliśmy tedy jak wspomniałem o $1\frac{2}{2}$ mili od Wilna obozem, pod wsią Malowanką, tak blisko nieprzyjaciela, żeśmy każdego ranka i wieczora po rosie dobrze słyszeli bębny i świstania faifrów Moskiewskich w Wilnie. Dla czego Sakin której bądź nocy nie uderzył na nas i nie rozgromił zupełnie? a co było mu z łatwością przyszło, tego nikt z nas ani nie pojmował wówczas, choć co dnia byliśmy na to przygotowani, ani ja dotąd pojąć niemogę. A że nas w spokoju zostawił, więc tym czasem ćwiczyliśmy po całych dniach młodego żołnierza, sposobiąc go do bliskiego boju. Litwin, dzisiejszy zwłaszcza włościanin odrodzony od swych przodków, co to za Olgerdów i Gedyminów postrachem bywał Lachów, Rusinów i Krzyżaków, dziś spowolniały i skupiony jakoś na wewnątrz, do ascetyzmu niezmiernie przytem skłonny, tępo pojmował mustrę i mało okazywał ducha, co nas starych instruktorów niecierpliwiło niezmiernie, a prócz tego i to, że miasto tego życia gwarnego, wojacko - junackiego, miasto owych wesołych spiewek, konceptów, i tej nieustannej gawędy ogniskowej w czem nasz polski wiarus jest niezrównanym, gdyś zaszedł do baraku do Litwinów, toś ich zastał albo leżących pokotem w głębokiej zadumie, albo skrzętnie ale milcząco warzących sobie jadło, lub wreszcie, co najczęściej, siedzących kupkami z rożańcami w ręku i śpiewających po litewsku grobowo ponurym głosem jakąś pieśń pobożną albo litanią. Nabożeństwa nikt z nas wtedy jeszcze nie miał w zwyczaju przedrwiwać, owszem, na wzór naszych sławnych przodków, nie jedne pułki nasze przed początkiem każdej bitwy i teraz głośnym chórem spiewały starożytną *„Boga Rodzica dziewica!”* ani też nikt się tem nie gorszył gdy widział obok siebie kolegę pobożnie wprzód żegnającego się, za nim do ataku spuścił w pół ucha końskiego lancę, bo przysłowie *„kto z Bogiem, to i Bóg z nim“* było tedy jeszcze artykułem wiary najstarszych i najmłodszych żołnierzy wszelkiego stopnia. Ale z drugiej znowu strony owe ciągłe rzewno - trwożliwe jakieś zewnętrzne oznaki bigoteryi rażą i źle odbijają w obozie obok munduru i szabli, a taki żołnierz co ciągle pacierze szepcze i w piersi się bije, jakoś dla tego już samego nie wielkie o swej odwadze daje wyobrażenie, że go się musi, i to nie bez przyczyny o słabość ducha pomawiać. —

Przez czas obozowania w pobliżu Wilna miałem sposobność, będąc kilka razy odkomenderowanym za furażowaniem, i nieraz jeden patrolując w różnych kierunkach, poznać okolicę oraz przypatrzyć się bliżej domowemu życiu obywatela i wieśniaka litewskiego. Litwa w ogóle prawie kraj zapadły i lesisty, pełen jezior i wód, na pierwszy rzut oka dla obcego jakąś tajemniczą, ale nie dość wdzięczną przedstawia fizognomią zbliżywszy się jednak czy to do Wilna, czy w kierunku Żmudzkiej granicy ku Kiejdanom roztacza się przed tobą czem raz obszerniej pyszny, uroczy krajobraz, ze swemi zielonemi, kwiecistemi dolinami i wybrzeżami Niemnu, Wilii, Wilejki, i Świętej rzeki skrapianemi śrebrnemi tych rzek nurtami a po nad niemi ni to szkielety, sterczą omszone sędziwą starością owe sławne mury lub ułomki baszt, nieme świadki dawnej potęgi władzców na Trokach, Krewiu, Birszach i Starym Kownie. Lud tu z pozoru dziko wygląda, w pochylonych, dymnych chatach, często w śród lasu położonych, zamieszkały, rzadko bardzo po za granicą swego sioła znający świat Boży, z tąd obcego, zwłaszcza z klasy wyższej którego mowy całkiem nie rozumie, lęka się, nieufa mu, i troskliwie wszelkiego zetknięcia z jakim bądź przybyszem unika, w gruncie atoli poczciwy choć uparty i skryty, potulny i religijny, ale dotąd z zabytków pogańskich dużo zabobonów sciśle przestrzegający; do dziś karmi on i choduje domowe węże, sypie ziarno, rozlewa mleko, stawia misy z miodem dla domowych bogów po kątach świetlicy, ale zarazem pali gromnicę lub wieczną lampę przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, w dzień zaś zaduszny pod przewodnictwem starego guślarza znoszą dla zmarłych na cmentarze objaty i po pustych kaplicach, których tam pełno, sprawiają regularnie *dziady*.

Co się tycze szlachty, obyczaje tej, wyjąwszy rodzin

magnackie, które w całym świecie jeden stopień zewnętrznej formy już przyjęły, zachowały się do dziś niby skamieniałe, w owej staropolskiej poczciwości i w tych patriarchalnych cnotach, jakich to przed wprowadzeniem do nas cywilizacyi zachodu, tak święcie przestrzegali przodkowie nasi!...

Razu jednego za komendą przybyłem do jednego z takiej szlachty, a był to sobie pan na 3ch czy 4ch nawet obszernych włościach, u którego spichrze i lamusy widziałem pełne, kilkoletnie sterty, co niby obszernem osobnem siołem rozsiadły się na nieprzemierzonych okiem łanach, a w sypialni przy łóżku jegomości okutą i do podłogi przyśrubowaną skrzynię, pełną karbowańców i czerwieńców. Taki panek u nas trzymałby w przedpokoju najmiej z półtuzina na rozkazy wykamaszowanej i z nudów poziewającej służby, mieszkałby w pałacu, chociażby bez symetryi ale w parku postawionym, a w missyi w jakiej wtedy byłem, gdybym do niego zajechał, przyjąłby mnie miną słodko-kwaskowatą a może i protekcjonalnie, dla wysondowania zaś stopnia wykształcenia swego natrętnego gościa, mową obcą. On? przyjął mnie na progu staroświeckiego, modrzewiowego dworca, w dreliszkowym żupanie i kozłowych butach, z podgoloną czupryną i sitarskim wąsem, co się zawiesiście na otwartej, serdecznej, rumianej, a od radości rozpromienionej wił twarzy, z otwartemi rękami wprowadził do komnaty, gdziem ujrzał jeszcze owe nie wytworne wprawdzie, jednak choć kosztowne, trwałe, atoli staroświeckie sprzęty, makaty, kobierce, cenną starością, tradycyą i wartością broń, jelenie i łosie rogi, niedźwiedzie skóry, siecie i rozmaite samołowki na źwierza, wreszcie familijne starych antenatów portrety, a między niemi Jagiełły i Jadwigi, Witolda, starego Kiejstuta i sławnej z wdzięków Jego Biruty konterfekta. A za nim jeszcze gospodyni domu i dorosłe córki ukazały mi się, już małe kozaczę świeżą ale domorodną nakrył stół serwetą i wniósł na tacy stoletnią może starkę i rozmaite litewskie zakąski, jakoto półgąski, kumpie, salcesony, wędzoną słoninę a do tego chleb żytny, razowy.

— Ach! *Koroniaszu* kochany! ta pogorzałkujma se troszka! boć to was nie od dziś dopiero wyglądamy tu jak zbawienia! Taż to fortunny moment dla nas starej biednej Litwy że znów korona ręce nam podaje! Taż to onę opłakaną już gorącemi łzami, ukochaną małżonkę może znów po staremu połączy p. Bóg na nowo ślubnym węzłem. O! na cudowną Matkę Ostrobramską! i na krew ś. p. dziada mego, co za świętą sprawę dał gardło pod okopami św. Trójcy klnę się! że wszysko, dalipan wszystko, krom moich dziewek, a w potrzebie i one oddam wam, i na ołtarz ojczyzny złożę, tylko koroniasze kochani bijcie dobrze, bijcie! a wyzwolicie nas raz już z tej egipskiej niewoli!

— Właśnie bo też mój mości dobr. przyjechałem tu w podobnym interesie, rzekłem, muszę bowiem domagać się od niego małego liwerunku, jaki na pańskie majątki wypadł z podziału.

— A kochany koroniaszu, poczciwy poruczniku! ta bierz, zabieraj, co żywnie chcesz; dam ci i starki i owsa i siana, ta i kilka wołów zda wam się, a może z parę żmudzkiej rasy stępaków wybrałbyś dla tych naszych tam biedaków, co to się do was cisną, radzi bronić matki ojczyzny a nie mają niektórze chudziątka i na czem. O dam, ale o tem potem. Zjesz z nami pierwej panie bracie szlachecki litewski obiad, zjesz, nieprawda? ja tym czasem podwody nakażę.

Podziękowałem serdecznie i naturalnie że przyjąłem. Niebawem ukazała się w komnacie sama gospodyni domu, z dwiema dorosłemi i dorodnemi córkami; sama, poważna już wiekiem, a przypominająca statkiem owe matrony polskie, o jakich to dziś w powieściach jeszcze tylko czytać się nadarzy, ubrana skromnie ale chędogo i wygodnie, powitała mnie z tym jakiemś serdecznem, macierzystem prawie uczuciem, co mnie zaraz za serce pochwyciło, ujęła potem za ręce a wlepiwszy we mnie jakiś tkliwy pełen czułości wzrok, co moją poczciwą kochaną matkę na pamięć mi przywiodło, ścisnęła, i rzekła.

— Miły Boże! toż to oficer polski? polski! o! jakżem mu rada! bardzom rada. I gdy tak na mnie z jakimś rodzajem uwielbienia się wpatruje, zaraz strumień łez spłynął po jej sędziwych policzkach, a widząc moje zmieszanie, prędko łzy ocierając, drżącym od wzruszenia głosem rzekła:

— Panie, nie dziwuj się, miałam syna, dziś byłby w twoim prawie wieku i . . . byłby pewnie już z wami! teraz już, nie mam co dać ojczyźnie, niemam!..

— No no no moja jejmość, kochana Jadwisiu! Bóg tak chciał, święta jego stań się wola! odezwał się stary, głaszcząc żonę po twarzy i całując ją w czoło, a łza rozczulenia drżała mu także w oku; nadrabiając jednak miną, dodał:

— A też to dziewki nasze, czy nie są prawowiernemi Litwinkami? poczekaj no jejmość, niechno da to Bóg! pobiją nasi tylko wroga, to wybierzesz sobie sama z pomiędzy najwaleczniejszych czy to Litwinów, czy Koroniaszy dwóch łebskich zięciów, a ci nam stratę naszego biednego Władka wynagrodzą jeszcze, prawda panie, hę?

(D. n.)

List otwarty do pana Ypsylona gospodarza wiejskiego.

Dla czego pana Ypsylona dopiero ostatnie listy gospodarza wiejskiego rozmachały, i tak potężnie podżegły, że chromy dotąd na pisarską rękę pochwycił za pióro? To nowy sęk.

Zrobić w sęku dziurę, aby przez nią pokazać, jak panowie Ypsylony wyglądają, wprawdzie trudne na zwyczajnej drodze zadanie,

ale ponieważ pan Ypsylon woli się bawić na taniej reducie, jak w piękne lecz kosztowne cele, jak w nauczające ale nudne posiedzenia i uczelnie gospodarskie, więc proszę z sobą, a może pod maską bliżej się poznamy.

A że nam we dwóch może by było za nudno, więc weźmy ze sobą i kolegę △, i rozpocznijmy psychologiczną analizę, która jest głównym żywiołem każdej maskarady.

Oto pan △ wstąpiwszy w progi towarzystwa gospodarskiego, zaglądnąwszy w ubogie ustronie Dublan uległ zgrozie, i z całą goryczą wystąpił w obronie sprawy, w którą uwierzył, że ona jedynie wydobyć może kraj z nędzy, i ochronić od napaści tych gburowatych halabardników, co z wekslem i prawem wekslowem w ręku a z niegrzecznością w ustach niepokoją nasze domy, bez względu nawet na urodzenie. Pan Ypsylon nie uległ zgrozie, ale ztchórzył przed widmem Dublan, i jako ów Papkin napuszczony dowcipami schronił się między duszyczki białogłowskie, aby z niemi unosić się roskosznie po toniach harmonii. Ostrożnie wesoły kolego, abyś nad temi toniami nieosmolił skrzydeł, a wpadłszy w przepaść nie zobaczył na dnie widma twojego — Dublan — i inne duszyczki białogłowskie, które by cię nie pląsami ale szyderstwem przywitały, bo one nie unoszą się roskosznie na tonach harmonii, ale z całą troskliwością utulają twoje widmo, i stroją w modne sukienki indemnizacyjne *).

Pan △ wybrawszy się w podróż po ziemi polskiej, puścił się w drogę w imię Opatrzności a nie jakiejś tam figurki klasycznego abecadła, z którym pan Ypsylon jako krótszy potomek dłuższego Ypsylantego widać dokładniej jest obeznany, bo zwróciwszy się z igłą magnesową pojęć swoich ku północy wyszydził pamięć naukowej przeszłości, zażartował z przybycia oświaty od zachodu, i z tych gości, którzy przy pomocy żelaznych kolei, telegrafów i obecnych stosunków może bliżej są nas jak Krymu, a w końcu uznał wielkie tarany wiary i oświaty za słabe na klin do wybicia sęku, któremu innych klinów, zapewne z wyrobni przemysłowej z Kaługi potrzeba. Pan Ypsylon bowiem pomimo swego «jak?» i «obaczemy!» nie wskazał nam innej drogi do zbawienia.

Pan △ porwany uniesieniem wpadł nieostrożnie w grób Piotrowina, pan Ypsylon niedobiegłszy dziejów ojczystych ugrzązł w grobie ojca Hamletowego, zkąd go zaledwie uczony Gerwinus wydobyć był w stanie.

Pan △ zestawił swoje statystyczne data, ile to chłopski rozum pojmuje, zapewne nie w innym celu jak tym, aby okazać, że tak wielkie liczby powinny podołać sprawie, która przez skromne adycye datku do datku, łatwo w piękne dzieło zamienić się może. Pan Ypsylon będąc przeciwnikiem dodatkowości w sprawie obcej, doprowadził substrakcyę aż do matematycznego infinitum »∞«, i w tym zapale wymazał z rzędu ludzi żydów! i inne narodowe żywioły!? zostawiając na tej Bożej ziemi same substrakcyjne istoty, które niemogąc znieść widoku rozdartego w imię wiary i oświaty gardła, zamykają sie przed nim za stalone rygle skąpstwa.

Pan △ uznając, że szkoła rolniczo przemysłowa w kraju wyłącznie rolniczym, jest ubitą drogą do pomyślności, użył wszelkich sprężyn uczuciowych, aby obudzić do czynu naród, który jak nas historya uczy, popędowi poetycznemu i uczuciowości zawdzięcza swoje najpiękniejsze dzieła.

Pan Ypsylon nie podziela tego zdania, wszystkie bowiem gorące życzenia pana △ nazywa pienistą szumowiną, dowodząc że nam nie pienistych szumowin, nie zaklęć, nie wykrzykników, nie logarytmów, tylko odrobineczkę zdrowego rozsądku i zimnego regestrowego rachunku potrzeba.

*) Wiadomo, że księżna Sapieżyna ofiarowała na zakład w Dublanach 1000 złr. w papierach indemnizacyjnych.

Oj prawda Mości Dobrodzieju! na gwałt nam potrzeba zdrowego rozsądku; a niebędziemy nadużywać cierpliwości czytelników, na czytanie frazesowych pleonazmów jak »pieniste szumowiny« na czytanie anatematów przeciwko wykrzyknikom, gdy sami w krótkim liście przeszło 24 mówię dwadzieścia cztery takich wykrzykników umieszczamy a w końcu niebędziemy narażać cierpliwej publiczności na uwierzenie w fałszywe matematyczne zasady. Bo cóż by powiedział stary Archimedes, gdyby mu pan Ypsylon w swojej matematycznej perfekcyi dowodził, że zimne regestrowe rachunki są większą matematyczną potencyą jak logarytma. Uląkł by się zapewnie bardziej bardziej tego widma jak pan Ypsylon Dublan.

Ależ pan Ypsylon pomimo swej rachunkowo-regestrowej akuratności, dopatruje w listach pana △ nietylko pienistych szumowin, nietylko frazesów, i tym podobnych stylistycznych błędów, ale nawet takich rzeczy, których ja używszy mocnych Plesłowskich okularów, a nawet latarni Diogenesa w żaden sposób dostrzedz niemogłem. Pan Ypsylon podszywa bowiem listom gospodarza wiejskiego żądanie, aby ci co składali bo mogli, bo chcieli, bo takie było ich przekonanie, składali jeszcze i za tych, którzy nie mogli, niechcieli, lub inne mieli przekonanie. Widać że i zimny matematyk wedle teoryi pana Ypsylona, może popaść w błędy frazesowe a porwany uniesieniem minąć się nawet z prawdą.

Lecz bije już dwunasta, czas opuścić redutę z innemi porządnemi maskami, żegnam Was szanowni koledzy, a jeśli się z czasem znowu pokusimy pojść na maszkaradę, to chciejmy pojść bez masek, wszak nas już poznano. Żegnam was do zobaczenia, pomimo, że mię jeszcze chętka zbiera dalej rozprawiać z Tobą panie Ypsylonie, ale że wdalszym ciągu tego listu nie do pana △ ale do jakiejś mnogiej liczby piszesz, przeto zostawiam tym do odpowiedzi kolumny Nowin otwarte, o których pan Ypsylon, z nie fityjskiego wyrzekł trójnogu: Quod licet Jovi, non licet bovi.

Rozmaitość.

Od Starego Miasta. Od dawna zbieram się opisać okolice Spasa pod względem używania żętycy i uczyniłbym to teraz gdybym się nie obawiał niekorzystnego dla mnie kontrastu, między czasem opisu a opisanym przedmiotem; słusznie tedy zostawiając tę pracę na lato, by obarwić miejscowość doniesieniem o kąpielowych, pomówię tym razem o wywłaszczeniu naszych włościan, przedmiocie zdaje mi się, nietylko ciekawym, ale zbyt ważnym aby i nadal pozostać miał publiczną, jak to mówią tajemnicą, bez sankcyi dziennikarskiej, a pisząc o tem do pisma beletrystycznego, chciałby zwrócić na ten przedmiot pióro naszych powieściarzy.

Ciche przekształcenie, jakiemu cała Galicya od r. 48 lubopomału, ale nieprzerwanie ulega, uwidocznia się najwyraźniej na stanie włościan. W Polsce dola chłopów przechodziła różne okresy; był czas, gdzie osobista wolność była udziałem kmiecia, później gdy przez długie lata pańszczyzna i dziesięcina trzymała go w zależności, słowem, szlachcic i chłop wyobrażały u nas polityczną antytezą, coś podobnego jak w dawnej Sparcie: grek i helota, lecz na tyle jaskrawą, co u Amerykanów obywatel i murzyn. Dopiero zniesienię poddaństwa nadało tej najliczniejszej klasie wolność obywatelską, obdarzyło chłopa prawem własności tej ziemi, której dył dzierżawcą, zrównało, lub równa go w obliczu ustaw z każdym innym mieszkańcem i powiedziało mu: robię cię człowiekiem! Nowy ten porządek rzeczy narobił ogromnego hałasu między wszystkiemi niechłopami i różnie od nich został przyjęty. Jedni mówili że to historia z Kasprem Hauserem, odegrana na wielką skalę, bo gdy dopiero światło prowadzi do wolności, oswobodzić ciemnego chłopa, jakim jest

polski bez różnicy wyznania, znaczy to samo, co chowanego w lochu Kaspra wyprowadzić na jasny rynek. Temu zdaniu przeciwni, zwłaszcza cała emigracya, a za nią młodzież krajowa twierdzili, że to próg do narodowego zbawienia.

Mija rok siódmy temu wielkiemu w świecie zdarzeniu i dziś możemy badać jego skutki bez żadnych złudzeń dla przyszłości i bez względów dla dawnych i teraźniejszych czasów; uczynimy to jedynie ze stanowiska materialnego bytu nowej klasy obywatelów bez poglądu na ich moralność i umysłowość.

Głowa i serce to nie zamczysta komora aby się dały w tak krótkim czasie napełnić.

Stawszy się panem używanej ziemi, cóż z nią chłop galicyjski zrobił? Jeden zaczął ją dobrze obrabiać, odebrał od drugiego co sądził że mu się według jakiegoś tam prawa należy, czasami dokupił kawał roli od biedniejszego sąsiada i dziś jest wcale zamożnym, a prawie od nikogo niezależnym mieszkańcem. Jego potrzeby życia niezwiększyły się w niczem, administracya zwiększonego majątku nie stała się kosztowniejszą, bo tak teraz jak dawniej sam uprawia swoje role a przyjęte z koniecznej potrzeby sługi, odprawia na zimę. Zaś dochody o wiele są większe: zboże popłaca, nikomu się nic darmo nie robi, a jeźli tam kiedy na stokrotne wzywanie wyszle na zarobek, to trzeba nie tylko grubo przepłacić, ale uważa to jako formalną łaskę, za którą zarobkodawca winien mu być wdzięczny. (D. n.)

* Bal jutrzejszy na strzelnicy na korzyść funduszu pożyczkowego dla rzemieślników wypadnie, jak się zdaje, bardzo świetnie. Między innymi z kupujących bilety dał pewien oficer oprócz ceny biletów, 100 złr. m.k. nadwyżki.

Przyjechali od dnia 14. do 15. Lutego do Lwowa.

PP. Rozwadowski Konstanty, z Podubiec. Horodyski Tomasz, z Bogdanówki. Komarnicki Bolesław, z Jakowiec. Czerkawski Józef, z Meryszczowa. Osmólski Władysław, z Kuliczkowa. Kube Ludwik, z Krakowa. Mikuli Krzysztof, z Zakrzewy. Jaworski Apolinary, z Ordowa. Koch Ernest, z Dąbrowicy.

PP. Łopuszański Antoni, z Mokrotyna. Bogdański Edward, ze Zabłotyc. Sobolewski Feliks, z Netrepki. Stankiewicz Stefan, z Podlisek. Papara Stanisław, z Dolnicza. Orłowski Feliks, ze Zagrobelli. Padlewski Stefan, ze Złoczowa.

Wyjechali dnia 14. do 15. Lutego ze Lwowa:

PP. Bobrowski Klemens, do Korsowa. Kuczyński Feliks, do Kutkorza. Kuczyński Leon, do Lubowa. Skarbek Seweryn, hr. do Tarnopola. Dobek Konstanty, do Sarnik.

PP. Barański Karol, do Chłopczyc. Komorowski Piotr hrabia, do Balic. Niesiołowski Anzelm, do Sokala. Bogdanowicz Maxymilian, do Przemiwółki. Wierzbicki Julian, do Kutkorza. Czermiński Julian, do Glińska.

Lwów 16. Lutego. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 34 złr. — kr. do 37 złr. — kr. — Żyta po 30 złr. — kr. do 30 złr. 50 kr. Jęczmienia po 22 złr. 30 kr. do 25 złr. — kr Owsa po 18 złr. 30 kr. do 20 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 22 złr. — kr.— Ziemniaków po 10 złr. —do 12 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 38 złr. 45 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 50 kr. Centnar słomy 2 złr. 40 kr. do 4 złr. — kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 16. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	128 1/8	Pożyczka 5% 82 1/8 4 1/2	71
Hamburg za 100 tal. banco	94 1/4	Akcye banku	1002
Londyn za 1 funt szterl.,	12 26	Kolej północna	1895
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	75
Paryż za 300 franków .	150	Nowa pożyczka z loteryą	106 1/4
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa . .	85 1/4.

Wczorajszy **Kurs Lwowski**	Gotówką		towarem.	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 55	złr. 6	kr. —
Dukat cesarski	« 6	» 3	» 6	« 5
Półimperyał zł. rosyjski	« 10	« 17	» 10	« 21
Rubel srebrny rosyjski	» 1	« 59	« 2	» —
Talar pruski	» 1	« 55	» 1	« 58
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	« 26	» 1	« 27
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	» 93	« 55	» 94	« 15
Obligacye indemnizacyjne z kuponami.	» 75	» 20	» 75	» 33
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	76	« 48	.. 77	.. 1

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**